

Wojciech Garstka
Felieton

W numerze 48 pisma „Angora” z 30.11.2008 r., ukazał się kolejny felieton Janusza Korwin-Mikkego, poświęcony tym razem refleksjom wokół śmierci Mieczysława F. Rakowskiego. Felieton zawiera uszczypliwe pochwały i pełną powściągliwość akceptację osoby i postawy premiera Rakowskiego. Tych kwestii nie komentuję, bo mają one charakter prywatnej opinii i deklaracji autora. Godne skomentowania jest jednak jedno niepozorne, ale istotne zdanie, zamieszczone na końcu felietonu. Oto ono:

„[...] najprawdopodobniej i On i p. Generał zostali wykiwani przez euro-lewicę (w Polsce reprezentowaną przez Adama Michnika & Co.)”.

Słowo „On” – odnosi się do Rakowskiego, a „wykiwanie” – do braku realizacji chwalebnych planów i oczekiwań Rakowskiego i jego towarzyszy, dotyczących pożądanego kierunku przemian polskich po 1989 roku. Nie zgadzam się z taką tezą i przytaczam poniżej polemikę, z którą zapoznałem autora felietonu.

Kłęska wyborcza Mazowieckiego w wyborach prezydenckich, zmiana ekipy władzy na ekipę Wałęsy z Kaczyńskimi i Wachowskim w tle i kolejne spazmy polityczne, prowadzące do wymiany ekip na „małolepsze”, a czasem wręcz fatalne – jak w przypadku ekipy Olszewskiego, chwilowy (w historycznej perspektywie) triumf lewicy-bez-lewicy, dla niej samej zaskakujący i jej późniejsza spektakularna klęska - były wynikiem splotu kilku czynników:

- ewidentnych potknięć pierwszego rządu solidarnościowego – zwłaszcza gospodarczych, socjalnych, kulturalnych i obyczajowych (szczegóły przekraczają wymiar tego tekstu), prowadzących do znacznego wzrostu biedy, upodlenia zaskoczonych efektami zmian byłych beneficjentów ułomnego, ale „ujutnego” socjalnie ustroju PRL - a zatem ich dezorientacji, zniecierpliwienia i podatności na populistyczną demagogię.

– cynicznego złamania przez stronę solidarnościową ustaleń Okrągłego Stołu, zwłaszcza jego stolika ekonomicznego i społecznego, przy realizacji tzw. programu Balcerowicza. Doprowadziło to do gwałtownego rozwoju wczesnokapitalistycznego wyzysku, drastycznego pogłębienia nierówności oraz pojawienia się nieusuwalnych obszarów nędzy i poczucia beznadziejności.

- dopuszczenia do kryminalizacji sfery gospodarczej, pod hasłem ideologicznie motywowanej

prywatyzacji, dość często upolitycznionej. Sprzyjało to m.in. z jednej strony bardzo szybkiemu – jednopokoleniowemu – przerodzeniu się części wierzchołka mafijnej w nobliwych przedstawicieli elity gospodarczej, a z drugiej powstaniu przejawów „kapitalizmu politycznego”, czyli gospodarki opartej na politycznej korupcji.

- wypuszczenia spod kontroli tajnych służb, na skutek kompletnej niekompetencji ich nowych dysponentów, w zestawieniu z ich fascynacją SB-ecką zabawką i wiarą, że tym narzędziem da się wszechmocnie reżyserować nawet scenę polityczną. Tak zaczęły się obustronne zresztą próby manipulacji tą sceną – po kolei z lewa i z prawa.

To wszystko było natomiast skutkiem kilku rzeczy następujących:

- znaczne przecenienie wartości liderów opozycyjnych ze strony dawnej władzy. My na Rakowieckiej też gloryfikowaliśmy ich w jakiś sposób i uważali za niezwykle wręcz intelektualistów, dysponujących receptami na totalną poprawę – a to była głównie prawda (według nomenklatury ks. Tischnera). Wczytywaliśmy się w ich opracowania i opinie, rekonstruowaliśmy ich rzekomo głębokie koncepcje strategiczne i taktyczne. Wręcz nabawialiśmy się kompleksów niższości wiedząc, że za niektórymi koncepcjami stoją również poważne autorytety zagraniczne. Wprawdzie na tle wszelkich „tez zjazdowych” były one rzeczywiście odkrywcze, ale praktyka je raczej zdyskredytowała (np. słynną koncepcję Kuronia – „Samorządnej Rzeczpospolitej”).

- przecenialiśmy kompetencje i lojalność najwyższej rangi „partnerów” tajnych służb cywilnych i wojskowych, nigdzie formalnie nie notowanych i traktowanych jako zasoby strategiczne. Te zasoby były w pewnym momencie niebagatelne i rodziły spore nadzieje na kontrolę stanu i postępu zmian. (Niech przykładem będzie choćby nieżyjący Adam Schaff, realizujący bardzo ważne zadania i posłania – m.in. wobec papieża). Wierzyliśmy, że będą oni wiernie i umiejętnie realizować koncepcję płynnego i gładkiego przejścia do rynkowej demokracji, wspierać ten proces pod każdym względem, dbać o jego ucywilizowanie i chronić przez ekstremizmami. Część z nich jednak się nie sprawdziła i ogłupiała od sukcesów, zapominając o ich źródle, a inna część wyraźnie się złażdaczyła – czego bardziej szczegółowo wyjaśniać nie będę. Pozostała, niemała część, pozbawiona ośrodków koordynacji, zagubiła się kompletnie. Nazwisk wymieniać nie ma sensu – i tak nikt nie uwierzy.

- nie docenialiśmy też stopnia i skali demoralizującego wpływu naszych własnych działań operacyjnych. Pozyskiwani często szantażem i przekupstwem, wspierani w swych indywidualnych nieuzasadnionych często karierach niektórzy przynajmniej agenci byli wręcz rozwyrzeni w swych żądaniach i oczekiwaniach. Jednocześnie – gnębiły ich obawy o ujawnienie ich przeszłości.

Po pierwsze więc – część z nich – ci najbardziej cyniczni i bezczelni, wyrwani spod wszelkiej kontroli, dowartościowując się i kreując na Katonów, ramię w ramię z nawiedzonymi głupcami i moralizatorami rozpoczęli wewnętrzną dintojrę w kręgach opozycyjnych, którą nazywa się do dziś „lustracją”. To oni są też dziś wśród najgłośniejszych krzyżących o konieczności „dezubekizacji”. Zabiegi lustracyjne doprowadziły do kompletnego zamętu – zarówno przez słabość legislacji, nędzną jakość kadr lustracyjnych, perfidię lub powściągliwość świadków z dawnych służb, jak i również na skutek bardzo pokrętnej (z oczywistych względów) postawy Kościoła w tej kwestii. W tej atmosferze każde oskarżenie o współpracę staje się wątpliwe – a o

to głównie niektórym chodziło. Dziś idiotyczną dyskusję na temat lustracji dominuje jeszcze bardziej idiotyczny spór o to, czy „bezpieka fałszowała swe wewnętrzne dokumenty, czy też nie”. Idioci sądzą, że jednoznaczna i ogólna odpowiedź na to pytanie jest możliwa i zdatna do wykorzystania dla poznania prawdy.

Po drugie - wywaleni na bruk z wilczym biletem doświadczeni oficerowie, mający niezwykle istotne kontakty operacyjne oraz cenne informacje dot. spraw gospodarczych, personalnych itp., nie zawahali się ich sprywatyzować, walcząc „o swoje” w państwie, które ich uznało za plugawych i odrzuciło na śmietnik. Niektórzy poszli nawet drogą powiązań mafijnych, ze swą byłą agenturą, mającą czasami kryminalną przeszłość. Nie do upilnowania był na przykład pion V MSW - ochrony gospodarki, PG, lecz zwłaszcza wywiad cywilny oraz część służb wojskowych, które były oprócz tego w pewien sposób, przez pewien czas, uprzywilejowane, w przeciwieństwie do totalnego pogromu zgotowanego SB.

Między emancypującymi się służbami pozbawionymi rzeczywistego i skutecznego nadzoru, a nawet mniejszymi koteriami w ich szeregach, złożonymi często z mieszaniny funkcjonariuszy dawnych, nowych i jeszcze nowszych, rozpoczęły się zajadłe prywatne wojenki o szmal, dotarcia i wpływy. Prawdopodobnie stąd wynikła większość afer takich jak FOZZ oraz rozmaitych przecieków i sensacji, w efekcie których tajne służby przestawały być tajne. Ponieważ część z tych afer, w tym głównie FOZZ, było początkowo globalnymi operacjami wywiadowczymi, prowadzonymi w interesie polskiej gospodarki, więc traciły na tym ewidentnie interesy państwa i jakość tajnych operacji oraz prestiż prowadzących je tajnych służb. Operacje te, źle nadzorowane albo wcale nie nadzorowane, wypaczały się też w coraz większym stopniu w prywatę.

Niektórym tak odbiło, że postanowili kształtować z wykorzystaniem możliwości operacyjnych skład legalnych władz RP – np. typować prezydenta faworyzując jakiegoś kandydata i kompromitując innego, czy wymieniać aktualnego premiera na sympatyczniejszego dla nich. Najbardziej znana jest tu tzw. afera Oleksego i udział w niej okazowego pajaca w postaci Zacharskiego. Tu prywatą, niekompetencją i bufonadą osiąga szczyty.

W tej brudnej wodzie obce służby – oczywiście głównie te nowo-zaprzysiężone, ale także na przykład postradzieckie wchodziły do wnętrza naszych tajnych służb jak w masło, a odpornych na infiltrację i mających jaki taki autorytet szybko stamtąd wspólnym wysiłkiem eliminowano. Wydaje się, że skala tej infiltracji i penetracji informacyjnej jest nieznana oraz niedoceniana i naprawdę nie chodzi tu tylko o nieszczęsne, spacyfikowane przez Macierewicza WSI, i paru głupców spektakularnie złapanych kiedyś tam przez podwładnych Konstantego Miodowicza. Przy tej okazji dokonano się też wielki akt hołdowniczy, zwłaszcza na rzecz Amerykanów, w postaci przekazania im newralgicznych zasobów operacyjnych na kierunku rosyjskim i generalnie wschodnim oraz pomocy w ewakuacji ich aktywów operacyjnych z Iraku. Operacja ta z jednej strony jest chlubą dawnych służb PRL i dowodem ich profesjonalizmu, ale zarazem była ona wykorzystana – przynajmniej częściowo – jako okazja dla prywatnego geszeftu paru cwanych oficerków.

- dżentelmeńskie odsunięcie się ekipy generałów od nadzorowania i kontroli wstępnego, newralgicznego etapu przekształceń systemowych – a przynajmniej ustaleń okrągłostołowych, co miała zapewnić prezydentura Jaruzelskiego i obecność dwu generałów jako szefów w resortach siłowych. Ta dżentelmeneria nie spotkała się ani z docenieniem, ani z politycznym rewanzem, a jej efekty były fatalne. Tylko bowiem ci generałowie, jako doświadczeni fachowcy, mieli szansę utrzymać w ryzach i powściągnąć różne tajne i mundurowe służby i zapewnić nad

nimi rzeczywistą kontrolę, a zarazem - jako ludzie dobrej woli, kreatorzy demokratycznych, pokojowych przemian – byli osobami najwyższego zaufania dla solidarnościowych reformatorów. Prawie nikt z tamtej strony tego nie docenił, często na swą własną zgubę.

- naiwne i nonszalanckie zaufanie ze strony dawnych władz partyjno-państwowych do Kościoła, jako asystenta i gwaranta porozumień okrągłostołowych. Kościół, jak zwykle zresztą w całej jego historii, zachował się zgodnie z dewizą „Macht ist Recht” – czyli siła jest prawem - więc po zniknięciu PZPR, totalnym rozprawieniu się z pionem IV SB, przekazaniu Kościołowi sporej części danych dot. agentury w jego szeregach oraz nieobliczalnym geście pokornej jałmużny w postaci stworzenia mieszanej komisji majątkowej, odwrócił się plecami do dawnego partnera partyjno-rządowego, w tym także do jego najważniejszych przedstawicieli – Jaruzelskiego i Kiszczaka – pozostawiając ich wkrótce bez najmniejszego wsparcia, choćby symbolicznego i moralnego, w obliczu agresji stada rewanżystów.

W ten sposób cała ekipa Jaruzelskiego – w tym i Rakowski, i Kiszczak, i Urban, i jeszcze wielu innych, pomniejszych – czyli twórcy i liderzy polskiej polityki dziejowego sukcesu w postaci powstania III RP wykiwali się – wbrew Korwin-Mikkemu - sami. Ich szczerą, uczciwą i naiwną, dobrą wolą, gotowość wzięcia moralnej odpowiedzialności za ryzykowne czyny i decyzje podejmowane w nieprawdopodobnym stresie i sporym ryzyku – są dziś lekceważone i postponowane. Najlepszym tego przykładem jest cyrkowy popis (nomen omen) sądu nad realizatorami stanu wojennego.

Dziś, niestety, w sferze publicznej dominują idioci, gówniarze i prymitywna hucpa. Zwłaszcza w Instytucie Propagowania Nienawiści. Nie rozumieją skali i doniosłości ewolucji, jaką ci ludzie samodzielnie przeszli od pozycji partyjnych notabli satelickiego państwa, do twórców pokojowej drogi do niezależności i demokracji dla Polski.

I to jest chyba najbardziej gorzka piguła, jaką jest dziś dane przetykać wielkim aktorom polskiej historii najnowszej i polskiego sukcesu dziejowego. M. F. Rakowski przynajmniej już dziś tego upodlenia unika – i to jest ta perfidna dialektyka niebycia.

Wojciech Garstka, publicysta, działacz lewicy, b. rzecznik prasowy MSW